Lwów, 19. (zamiast 15.) lipca 1894. IV. Rok istnienia.

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi we Lwowie:
Rocznie . . . 6 złr. — ct.
Półrocznie . . 3 „ — „
Kwartalnie . . 1 „ — „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.

Numer pojedynczy kosztuje 25 ct.

Rękopisów drobnych nie zwraca się.
Listów nieopłaconych Redakcya nie przyjmuje.

MYŚL

DWUTYGODNIK
LITERACKO-SPOŁECZNY

Prenumerata na prowincyi i w całej Austro-Węgierskiej monarchii wynosi.
Rocznie . . . 6 złr. 50 ct.
Kwartalnie . . 1 „ 65 „
w Niemczech: rocznie 14 marek półrocznie 7 m. kwartalnie 3·50.
We Francyi:
Rocznie 16 fr.— kwartalnie 4 fr.

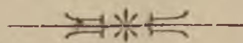
Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „Myśli“ po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następny.

Redakcya i Administracya we Lwowie przy ul Kościuszki l. 6 gdzie też uprasza się o nadsyłanie wszelkich przekazów i pism. — Prenumeratę przyjmują również we Lwowie wszystkie księgarnie. — W Krakowie: księgarnie: Gebetnera i Spółki, Spółki wydawniczej, Zwolińskiego i Spółki i J. A. Krzyżanowskiego. — W Poznaniu: księgarnia Cybulskiego. — Numera pojedyncze do nabycia we Lwowie w biurach dzienników: Plohna i Olszewskiego oraz w kioskach na wystawie.

ŻYCZENIE.

Owóż jutro — pojutrze, zejdzie się nas wielu:
No, i jeden drugiemu powie: „przyjacielu“. . .
Dłoń mu pięknie uściśnie, zgrabnie się ukłoni . . .
A radby go unurzać w jakiej mętnej toni.
Ludźmi jesteśmy, prawda, musi nam być miło
Gdy się bratu koledze — nogę podstawiło,
Wszystko to jest w porządku, niezaprzeczam . . . ale . .
My, cośmy świat przerośli o jakie dwa cale,
My, w których tkwi anielsko-niebiańska istota,
Moglibyśmy, w przyjaźni mniej używać błota.
Nie powiadam by błoto było wykluczone,
Tak dziecinny nie jestem; . . . ale żart na stronę
Prawda jest jako tako rzeczą dość przystojną,
A miłością się dalej zajedzie niż wojną!
Kto wie, czy świat w znaczniejszej nie miałby nas cenie,
I czyby nie mniej miały dziur nasze kieszenie,
Co tak znów głupiem nie jest. A więc bracia mili,
Dajmy sobie w jutrzejszej, uroczystej chwili,
Słowo, że serca nasze będą miłościwe.
A więc — słowo honoru — lecz takie . . . prawdziwe.

M. Rodoć.



Zjazd nasz a nasze sprawy.

Artykuł ten wyjdzie z druku równocześnie z otwarciem drugiego kongresu literatów i dziennikarzy polskich. Już więc nie pora wdawać się w szczegółowe rozpatrywanie kwestyi, czy i o ile program tegorocznego zjazdu odpowiada istotnym jego celom, tudzież potrzebom piśmienniczego u nas ogółu: nie pora już na krytykę i zarzuty, nie w takiej też intencyi głos zabieram. Owszem organizacya zjazdu przeprowadzona przez lwowskie Koło literacko-artystyczne zasługuje z wielu względów na szczere uznanie, jakość zapewnionych uczestników kongresu chlubnie świadczy o staraniach i zabiegach zjazdowego komitetu a wydany zbiór referatów i pierwsza bibliografia naszej literatury ludowej z ostatniego 50-lecia dowodzą poważnego traktowania sprawy i zostaną trwałą pamiątką całej tej akcyi.

We wspomnianym programie atoli derza na pierwszy rzut oka jedna luka, jeden brakni na nie-

go właśnie, chcemy zwrócić uwagę sfer interesowanych, gdyż w danym kierunku zrobić coś dałoby się jeszcze, byle nie zabrakło dobrej chęci i inicyatywy. Uderza mianowicie, iż pomimo pamięci o poruszeniu wielu kwestyj nowych przepomniano kilka spraw dawnych, starych a między niemi sprawę *zleconą* przez zjazd poprzedni Kołom literackim we Lwowie i Krakowie do załatwienia; sprawę *syndykatów dziennikarskich*, bardzo ważną coraz bardziej aktualną, piekącą. Jest ona, co prawda, zarazem drażliwą . . . ale od czegoż właściwie — *zjazdy?* Niech nam wolno będzie wyrazić sąd, że właśnie, im kwestya z natury swojej „delikatniejsza,“ tem więcej nadaje się do programu dyskusyi *ustnej*; dyskusyi na kongresie, na zebraniu ludzi z najróżniejszych obozów. Niemal wszystkie referaty, objęte programem tegorocznego zjazdu mogą zająć, pouczyć i z czasem przynieść pewien pożytek; niemal wszystkie jednak to samo znaczenie i ten sam skutek mogłyby mieć w zwykłej, codziennej drodze publicystycznej; na omawianie podobnych rzeczy nie potrzeba koniecznie-zjazdów. Wprost przeciwnie z taką sprawą jak „syndykat autorsko-honorowy,“ bo tu argumenty im silniejsze i racyonalniejsze, tem lepiej ukryte zostać winne w naszem własnem gronie, winne pozostać w naszej wiadomości, naszej tajemnicy a temu publiczne rozpisywanie się chyba niezbyt by sprzyjało . . . Francuz ma przysłowie, iż pewne rzeczy robi się lecz o nich nie mówi; można powiedzieć, że są i takie rzeczy, które się robi i o których mówi, lecz o których się nie pisze. Do nich, powtarzam, zaliczyć trzeba projektowane od lat jedenastu-syndykaty literacko-dziennikarskie, instytucyę, mającą przedewszystkiem zapobiegać właśnie, byśmy sami o sobie nie pisali za wiele, i za często, za namiętnie i brutalnie, w sposób hańbiący nietylko wrogie jednostki ale cały zawód, cały stan, do którego one należą . . . Celem syndykatów byłoby położyć kres wypadkom, na jakie niestety ciągle jeszcze od czasu do czasu patrzeć musimy, położyć kres skandalicznym polemikom w sprawach i zatargach czysto osobistych, czuwać nad poszanowaniem zasad honoru i przyzwoitości przez ludzi chcących za dziennikarzy uchodzić; słowem stać się w świecie prasy naszej podobnem,do tego czem dla prawników, techników, rękodzielników, robotników itd. od dawna są ich Wydziały, Izby.

My tylko nie tworzymy dotąd żadnej korporacyi, my tylko, dzienikarze, niby . . . twórcy, niby . . . reprezentanci, niby . . . kierownicy opinii publicznej, nie mamy i nie znamy dotąd żadnych praw i obowiązków zawodowych, nie zdobyliśmy się na organizacyę żadną; my tylko dziennikarze, niby to jakieś tam . . . „mocarstwo“, — nie stanowimy dotąd żadnej pozycyi ani społecznej, ani towarzyskiej, wisimy, że tak powiem, w powietrzu, często lekceważeni; zawsze, co najwięcej, tolerowani . . . Smutne to, lecz tak jest a jest tak z naszej własnej winy, raczej z naszych własnych win. Za jedną z nich, jedną z cięższych, uważam niedbałość o urzeczywistnienie myśli, którą na kongresie krakowskim r. 1883, pp. Parczewski, Piltz i Dr. Rosenblatt podnieśli i uzasadnili a którą kongres *w uchwale urządzenia syndykatów* przekazał zarządom galicyjskich Kół literackich.

Czemu tej sprawy, wbrew obowiązkowi, do programu zjazdu dzisiejszego, nie wprowadzono? — roztrząsać tutaj nie chcę.

Na referaty już zapóźno; nic jednak nie przeszkadza, by komitet zjazdowy zwołał najpoważniejszych członków kongresu na poufną naradę w powyższej kwestyi, celem pchnięcia jej choć o krok naprzód, po — letargu jedynastoletnim.

Tadeusz Zadurowicz.

Ze wspomnień o Teofilu Lenartowiczu.

III.

(O rzeźbach lirnika.)

Z góry zaznaczyć trzeba, iż rzeźby Lenartowicza szerzej są znane i wyżej cenione we Włoszech, niż u nas. U nas uważa się je niemal za kaprys poety; tam za istotną sztukę, za równoległy do poezyi prąd twórczości jego. Za co je uważał sam poeta? Czasem za jedno, a czasem za drugie.

„Ach, ach, błogosławiona zdolność zajęcia palców — pisał kiedyś do mnie, — bo ona daje wypoczynek duszy. Lekarstwo moje na nic się ludziom nie przyda, ale mnie bardzo. Nie mogąc żyć w świecie rzeczywistym, tworzę więc inny i żyję w nim, jak ów wyśmiewany rycerz smutnej twarzy. Prócz rzeźby nauczyłem się, a raczej przypomniałem grać na drumli i praktykując tę muzykę skracam sobie zimowe wieczory.“

Były więc chwile, w których na równi prawie sławiał rzeźbę swoją, ze swojem graniem na drumli, a oboje to miał za lek na tęskliwe godziny i zmęczenie duszne.

Innym razie wszakże chwytał za swoje rzeźbiarskie narzędzia w chwilach podniecenia energii artystycznej, rozbudzonej potrzeby działania, plastycznego uzewnętrznienia namiętnej żądzy ideału, to znaczy w chwilach, które po wszystkie czasy uważane były za momenty twórczych natchnień. Jeśli więc wtedy imał się gliny nie pióra, to dowód że pewna sfera aspiracyi jego w taki tylko sposób zaspokojoną być mogła; że zatem owo oddanie części sił rzeźbie, nie było w Lenartowiczu kaprysem, ale wynikiem głębokich, nieprzepartyck podniet.

Podniet takich mógłby być całe szeregi; ja wskażę z nich jednę.

Od wielu już lat Lenartowicz mało drukował z tego, co mu się pieśnią dobywało z duszy.

„Śpiewał sam sobie“ — pisał mi kiedyś z goryczą, bardzo zrozumiałą i bardzo dotkliwą. — ‚Przestałem się liczyć, nie wywieram wpływów“ — pisał innym razem, ze smutkiem, który ma beznadziejne dźwięki.

To było prawdą. Jego „Śmierć Sokratesa“ jego: „Mefisto“ jego „Jan III, Kościuszko, w Szwajcaryi „jego“ Branka“, pozostały prawie że wcale nieznane.

— „ Gdyby się te prace moje zatulały do was imienia autora nie stanowiłcby kilka strofek wiersza powtarzanego przez artystki z teatru . . . Dziś nie wiedzą nawet czy żyję, a to do tego stopnia, że czytając nazwisko zapytują Kurjera, czy Lenarto-

wicz nie jest pseudonimem Kondratowicza — sic“ — skarży się poeta w jednym ze swoich listów, jak człowiek skrzywdzony i głęboko krzywdę swą czujący. —

Jak na to zaradzić? Jak przemówić znów głosem żywym, budzącym echa, donośnym? Jak znaleźć drogę do serc dalekich a drogich, jak ukoić pragnienie podziału myśli i uczuć, które umie być tak niezbytem i tak dojmującem, że najsilnieszych przeraża. Jedyną radą na to było stworzenie nowego języka do wysłowienia uczuć tych i myśli, stworzenie nowych znaków, nowego wyrazu na życie duszy i na siły duszy. Językiem tym i tym wyrazem stała się dla Lenartowicza rzeźba.

Okoliczności raczej, niż wybór, tę właśnie sztukę ze wszystkich, podsunęły oglądającemu się za nową formą twórczości poecie. We Florencyi przebywał podówczas Wiktor Brodzki, — a mam ten szczegół od niego samego i on to pierwszy pokazał Lenartowiczowi, jak się z gliną obchodzić należy. Im obu zdawało się zrazu, że to rozrywka tylko; wprędce jednak duch poety rzucił się jak płomień w tę nową, otwartą sobie drogę artystycznych kreacyi, a rozrywka stała się umiłowaną pracą. Razem z poczuciem osiągnięcia pewnej doskonałości w kunszcie, przyszła fantazya, rzeźwość myśli, rozmach coś jakby druga młodość. W listach Lenartowicza znajduję niejeden urywek pełen zapału, wskrzeszonej wiary w siebie i rozbudzonych nadziei.

Było to coś, jakby nowe życie, owa: „Vita nuova“ — wielkiego Florentczyka, w której duch utęskniony znalazł też sobie swoją „gentile donna“ i z uniesieniem oddawał się rozkoszy wnikania w jej istotę. I nie dziw. Poezya podawała kielichy cierpkie, gorzkie. Była to biesiada samotnika, który przy stole swoim niema, nikogo komuby rzekł: „W ręce twoje bracie!“ Rzeźba uśmiechała się urokiem plastycznej skończoności, dla osiągnięcia której twórca nie potrzebował pośrednictwa żadnego „edytora“ i której droga za góry, za morza, na ścieżaj była otwarta.

— „Wyprawiam do Warszawy — pisze mi Lenartowicz w jednym z listów — dwie moje małe figurki brązowe, które cyzelując opasany fartuchem, ręce mam oliwą pomazane. Mali moi koledzy (chłopaki z brązowni) kręcą się koło mnie i to mi przyjemność sprawia. Wszystko ma swój rytm; i obracanie koła i stukanie młotkiem, a fabryka to także lutnia i to serio gadająca o poezyi pracy. E' viva Dio!...“

A w innym:

— „Siedzę po całych dniach z garścią wosku w ręku, z którego ulepiłem Danta, figurę jak mi powiadają Włochy bardzo udaną; ja wiem, że lepsza od wszystkich moich poprzednich, przez cały czas żyłem z tym wielkim wygnańcem i dużo mi naopowiadał.

W słówku tem, rzuconem od niechcenia, uchwycony jest szczęśliwie cały charakter rzeźb Lenartotowicza: opowiadają, mówią, są mówiące. Jeśli na zdobywanie techniki przez długie i mozolne studya, niezawsze pozwalała gorączka tworzenia, jeżeli stawał temu na przeszkodzie i wiek poety i dwoisty prąd jego twórczości, jeśli w rzeźbach jego nie dość się tłumaczy jakiś szczegół anatomiczny, jakaś linia, jakiś fałd draperyi, to psychiczna, wyrazowa strona kreacyi nie szwankuje nigdy, albo prawie nigdy. Rzeźbom Lenartowicza daleko do wykończenia, na jakie się dziś pierwszy lepszy szkolarz zdobywa, ale ich duch prosty, surowy, ustrzegł od tego wymuskanego modernizmu i szyku w formie, a od banalności i konceptu w treści, które to oboje rozpanoszone są wszechwładnie w klasycznych niegdyś Włochach. Dość przejrzeć choćby tylko florenckie pracownie, aby się o tem przekonać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Marya Konopnicka.

Prasa polska w roku 1794.

(Szkic bibliograficzny).

Powstanie Kościuszkowskie nie pozostało bez dodatniego wpływu na dziennikarstwo współczesne w Polsce, którego pierwsze zaczątki bujnie rozrastające się w epoce Sejmu czteroletnego zdławiła Targowica. W dniu dwudziestego piątego lipca 1792 roku ukazał się uniwersał konfederacyi jeneralnej zawieszający wydawnictwo „*Gazety Narodowej i obcej*“, redagowanej przez Mostowskiego, Niemcewicza i Weissenhofa; w dniu siedmnastego września t. r. ten sam zakaz spotkał wydawnictwo księdza Piotra Świtkowskiego, wychodzące p. t. *Pamiętnik polityczny i historyczny przypadków, ustaw, miejsc i pism wiek nasz szczególnie interesujących.* Zabroniła również z końcem 1792 r. Targowica wydawania „*Korespondenta Warszawskiego*“, redagowanego przez Wyżewskiego, Wyżewski jednak nie zamilkł śladem swych towarzyszów, którym pióro z ręki wytrącono, lecz od Nowego Roku 1793 począł wydawać *Korespondenta krajowego i zagranicznego,* podczas gdy organem Targowiczan powstała *Gazeta Warszawska.*

Gazeta Warszawska powstała według Estreichera z *Wiadomości warszawskich,* wydawanych przez Bohomolca w latach 1765 — 1772, następnie zaś do roku 1774 przez księdza Stefana Łuskinę. Łuskina, litwin z rodu, z zawodu astronom, długie lata spędził na podróżach naukowych w Rzymie, Włoszech, Francyi i w Niemczech. Przez czas jakiś bawił w Nancy jako spowiednik Stanisława Leszczyńskiego, zaś kasata zakonu Jezuitów zastała go w Warszawie, gdzie w tamtejszem kolegium wykładał astronomię i matematykę. Rzuciwszy umiejętność ścisłą dla publicystyki, nie działał na tem polu Łuskina dodatnio, gdyż mimo głębokiej wiedzy wstecznikiem był z zasady, nieczułym na losy kraju, ślepym wobec gotującego się dzieła odrodzenia ojczyzny. Zabezpieczony królewskim przywilejem *cum jure exclusivo* Łuskina był w całem tego słowa znaczeniu rządowym redaktorem, pomijając milczeniem wszystko, cokolwiek mogło dotknąć niemile stronnictwo dworskie lub posła carycy. Natomiast zawistny o swą powagę, z całą bezwzględnością toczył polemikę z księdzem Świtkowskim, wydawcą *Pamiętnika,* który go o całe niebo przewyższał i wszechstronnością wykształcenia i talentem pisarskim. Dzięki taktyce Łuskiny *Gazeta Warszawska* pomijała w czasie sejmu czteroletniego milczeniem głosy stronnictwa patryotycznego, poprzestając na ogłaszaniu konstytucyi już uchwalonych. Przemilczała również o prze-

biegu kampanii 1792 roku, natomiast z chwilą przystąpienia Stanisława Augusta do Targowicy, nieszczędził Łuskina pochlebstw dla konfederacyi a nie pogardzając przytem denuncyacyą, uzyskał chwilową przewagę nad swymi współzawodnikami, zmuszonymi przemocą do zawieszenia swych wydawnictw. Niedługo wszakże cieszył się Łuskina zwycięstwem, gdyż zmarł już w dniu 21. sierpnia 1793 roku. Uprzywilejowanym następcą Łuskiny został szambelan Włodek, zapewne w nagrodę usług, oddanych na sejmie grodzieńskim, w którym uczestniczył jako poseł Gostyński. Równocześnie pełnił Włodek obowiązki komisarza policyi koronnej... i od stycznia 1794 r. w miejsce „Gazety warszawskiej" począł wydawać *Gazetę krajową*, która wychodziła co wtorku i soboty z dewizą *Lege et elige*. Wydawnictwo to trwało do dnia 22 kwietnia, 1794 jakkolwiek Włodek już w dniu piętnastym t. m. umknął z Warszawy. unikając losu podobnych sobie, jurgeltników rosyjskich. W *Gazecie krajowej*, prócz uniwersałów i wyroków, wydanych przeciw Kościuszce i Madalińskiemu, na wzmiankę zasługują noty wymienione między Stanisławem Augustem a Igelstromem i Buchholtzem w pierwszych dniach rewolucyi. W tym samym dniu, w którym opuścił prasy drukarskie. ostatni numer *Gazety krajowej*, dnia 22 kwietnia, powzięła Rada Zastępcza tymczasową uchwałę, w której nakazuje, odrzucić „tytuł nawet tej Gazety, którego dotychczas godną nie była i który na niej przypominałby naigrawanie sromotnej niewoli, w jakiej się utworzyła." Jakoż w w najbliższą sobotę, dnia 26. kwietnia, ukazał się pierwszy numer *Gazety Wolnej Warszawskiej* z wymowną dewizą: *Post Nubilia Phoebus.* Tuż pod uchwałą Rady Zastępczej, wydrukowaną na czele numeru, mieści się odezwa redaktorów *Gazety Wolnej*, streszczająca się w następujących słowach: „Tak jest, wolni są Redaktorowie gazety teraz *Wolnej Warszawskiej* od tyranii i podłych autorów przez nią narzuconych. Przysięgają narodowi, że poczciwie i wiernie donosić mu będą wszelkie interesujące go wiadomości. Po długiej cierpliwości, po wstydnem obcego jarzma znoszeniu, odważyli się nakoniec uciśnieni Polacy, wspomnieć sobie, że wolność jest, dobrem najdroższem i na to hasło kruszą niewolnicze kajdany, wtłoczone na nich przez przemoc obcą i własnych rodaków zdradę. Podnosi to duszę wolnego Polaka, zagrzewa serce jego do czynów patryotycznych, gdy sławne, bohaterskie dzieła przodków swoich czyta w dziejach. Ten sięgał orężem brzegów Elby, stawiał słupy zwycięzkie za Dnieprem, ów w cudzej gospodarował stolicy. inni carów, ci następcy cesarzów mieli niewolnikami, innym potężni hołdowali Pany, przed owymi hordy barbarzyńców i chciwych najezdzców pierzchały; a my, czyż już zupełnie tak jesteśmy, słabi, abyśmy ich nie zdołali naśladować? Nie Narodzie! Poznaj się na Twych siłach, rzuć się do oręża, idź w ślady bitnych twych przodków. Szukajmy zbawienia naszego w nas samych. Niemasz zaś zbawienia dla rzeczy pospolitej tylko w jednomyślności narodu. Powstańcie wszyscy kraju mieszkańcy przeciw gwałcicielom swobód waszych! Uzbrójcie się w żelazo i w co kto może, gardźcie śmiercią a zwyciężycie. Miło jest umrzeć za ojczyznę. Jeżeli padniecie, padniecie z honorem. Mogiły, które zwłoki wasze pokrywać będą, nieraz łzy poczciwego przechodnia skropią. Najsroższy nawet wasz nieprzyjaciel popioły wasze szanować i zazdrość wam sławy będzie. Jużeście dobrze zaczęli, podobnież kończyć należy. Chwalebnie rozpoczętą rewolucyę, nic w biegu zatrzymać nie powinno. Każdy dobry obywatel winien jest ile może, do jej ustalenia przykładać się, nie szukać spokojności, chyba w grobie. Kiedy ojczyzna jest w niebezpieczeństwie, zapomnieć trzeba o wszystkich prywatnych względach. Niech przeto obojętni egoiści będą pogardzonymi, niech naprożno usiłują osłabiać gorliwość obywatelską, wystawianiem niepodobieństw i klęsk w głowie ich urojonych — oni tak mówią, bo się boją o siebie, bo o sobie tylko myślą, siebie tylko widzą, o swój tylko obawiają się majątek. o swe nikczemne zbytki i wygódki. My im odpowiadamy: Przy dobrej sprawie i naród cały okaże się mężnym i Bóg Wszechmogący go pobłogosławi i wiary dotrzymujących znajdzie obrońców i sprzymierzeńców. Ach niech tylko święte uczucia wolności „niepodległości i miłości ojczyzny, na całej przestrzeni kraju polskiego zapalą dusze mieszkańców. Zbledniejе natenczas tyran, z drżących rąk jego wypadnie zaostrzone na naszą zgubę żelazo i na trupach niestety płatnych jego oprawców swobody narodowe powstaną" ....

Słuszność każe prsyznać, że bezimienni redaktorowie *Gazety Wolnej Warszawskiej*, pozostali wiernymi głoszonemu programowi. W piśmie tem, gdyby w kalejdoskopie odzwierciedla się ruch rewolucyjny w stolicy i w całym kraju, począwszy od pamiętnych dni kwietniowych aż do dni Pragi i kapitulacyi Warszawy. Oprócz szczegółowych sprawozdań i czynności władz rewolucyjnych, odezw Kościuszki i innych wodzów powstania, znajdujemy w publikacyi tej obfity — jak na owe czasy — dział korespondencyi, zarówno z placu boju, jak z Litwy, Wielkopolski i Galicyi. Te ostatnie brzmią wielce optymistycznie, zwłaszcza w ocenieniu stanowiska, zajętego przez rząd wiedeński wobec rewolucyi. Ostatni numer tej publikacyi ujrzał światło dzienne w dniu pierwszego listopada 1794 roku.

Równocześnie z *Gazetą Wolną Warszawską* poczęły wychodzić w Warszawie: *Gazeta Obywatelska z wiadomości krajowych i obcych*, (od dnia 23. kwietnia, co środy i soboty), oraz *Gazeta powstania Polski*, wydawana przez Tadeusza Podleckiego, której winietę w numerze piątym zdobił wizerunek Naczelnika z pałaszem w ręku. (J. Łęski sc. Varsoviae 1794) z podpisem; Pozwól jeszcze raz bić się za Ojczyznę! Od siebie dodała redakcya. iż „to jest jego żywy portret, który że jest prawdziwie trafiony nad wszystkie inne rysunki, tak powszechnie uznają ci, co go widzieli w oryginale po skończonej przeszłej wojnie. Najmłodszem wydawnictwem owej doby była *Gazeta Rządowa*, wydawana przez księdza Franciszka Dmochowskiego i Siarczyńskiego. Wychodziła codziennie w formacie czwórkowym, począwszy od dnia pierwszego lipca do drugiego listopada. Oprócz wiadomości bieżących i doniesień, podawanych na równi z *Gazetą Wolną*, uwagę zwraca ogłoszone w tem piśmie (w numerze 53) oskarżenie Stanisława Augusta o wzięcie z kasy dworów rozbiorowych w roku 1773 kwoty sześciu tysięcy czerwonych złotych. Wiadomość ta obiegła w lot całą prasę polską i wywołała energiczne, acz gołosłowne zaprzeczenie ze strony królewskiej. Tak wystąpienie rzeczone przeciw osobie monarszej, jak też w ogólności ton radykalny, w jakim przemawiała *Gazeta Rządowa*, zdawały się

wskazywać, iż Kołłątaj nie był obcym kierunkowi tego wydawnictwa.

Z chwilą kapitulacyi Warszawy, i wejścia Suworowa do stolicy, zamilkły wydawnictwa doby rewolucyjnej i od dnia piętnastego listopada t. r, poczęła znów wychodzić *Gazeta Warszawska*, którą od Włodka nabył Lesznowski Antoni. Wydawnictwo to przetrwało do chwili obecnej.

Za przykładem Warszawy i inne celniejsze miasta dawnej rzeczypospolitej posiadały w owym czasie wydawnictwa peryodyczne politycznej treści. W Wilnie od dnia czwartego maja po dzień szósty sierpnia wychodziła *Gazeta Narodowa Wileńska* z godłem: *Virtus non territa monstris* w niedzielę zrana i w środę wieczorem. Prócz przedruków z *Gazety Wolnej Warszawskiej* podawała takowa dziennik czynności deputacyi centralnej W. Ks. Litewskiego oraz drobniejsze wiadomości miejscowe. W Krakowie na natomiast, w owej kolebce kościuszkowskiej rewolucyi, w mieście, gdzie zakłady akademickie i drukarnie zdawały się szczególniej sprzyjać powstaniu publikacyi peryodycznej, pomyślano o takowej dopiero w czerwcu 1794 r. W pierwszych tygodniach powstania wszelkie zawiadomienia i odezwy władz rewolucyjnych podawano do wiadomości publicznej za pomocą plakatów; wychodziły też od czasu do czasu rozmaite wiersze ulotne i pieśni patryotyczne tudzież pisemka treści politycznej w formie wydawnictw ulotnych. Taką publikacyą był *Głos Polaka do Współziomków* (I. II. III. IV.), sprzedawany w sklepie Dreliszkiewicza w Szarej Kamienicy. W drugiej połowie maja i z początkiem czerwca ogłaszano też drukiem *Wypisy z Gazety Wolnej Warszawskiej* i z *Korespondenta Warszawskiego*, z których to *Wypisów* powstała w pierwszej połowie czerwca *Gazeta Krakowska*. Numer drugi i prawdopodobnie ostatni tego pisma opuścił prasy drukarskie w dniu 12 czerwca t. r. Winieta tytułowa przedstawia się jak następuje:

Nro 2.

Całość!

Wolność! | **T. K.** 24. marca 1794. **w Krakowie.** | Niepodległość!

Quid valeant humeri . . .

GAZETA KRAKOWSKA

Dnia 12. czerwca 1794 r.

Prócz przedruków z *Gazety Wolnej Warszawskiej*, numer ten zawierał przekład z lwowskiej *Lemberger Zeitung*, tudzież spis ofiar obywatelskich, złożonych od dnia 25 marca w komisyi porządkowej Krakowskiej. Kapitulacya Krakowa, zawarta w dniu 15. czerwca, kres położyła temu wydawnictwu.

Poznań posiadał w owym czasie pismo polskie, acz wydawane w duchu germanizatorskim przez Przyjemskiego, konsyliarza Jego Królewskiej Mości. Była to *Gazeta Południowo Pruska*, wychodząca w tem mieście dwa razy tygodniowo, (w środę i w sobotę), począwszy od dnia drugiego sierpnia obok *Süd-Preussische Zeitung*. Prócz obowiązkowych przekładów z swej niemieckiej towarzyszki, zamieszczał Przyjemski wiadomości z pism warszawskich nie krępując się bynajmniej żadnymi względami wobec Rosyi. Pozwalała na to widocznie cenzura pruska. W dziejach kościuszkowskich zapisała się wszakże fatalnie *Gazeta*, powtarzając w numerze dwudziestym piątym, (z dnia 25. października), za *Süd Preussiche Ztg.* ową potworną bajkę, że „Kościuszko, przyniesiony na czterech dzidach do obozu moskiewskiego, oddając szablę, miał powiedzieć: *Finis regni Poloniae*“. Jak z historyi wiadomo, Kościuszko nigdy słów tych nie wyrzekł, gdyż przyniesiono go nieprzytomnego, be bronnego i odartego z pobojowiska. Bajka ta wszakże obiegła całą Europę i w roku 1803 powtórzył ją Segur w *Decade historique 1786 — 1796.*, skutkiem czego Naczelnik w liście do Segura pisanym w dniu dwanastego listopada t. r. wyraźnie zaznaczył, że tylko nieświadomość albo zła wiara zawzięły się, aby w usta jego kłaść to *Finis Poloniae*. W dalszym ciągu listu pisze Kościuszko: ... „my żołnierze poświęcając się za ojczyznę giniemy, ale ojczyzna nie ginie i nikomu nie godzi się mówić, ani powtarzać tego obrzydliwego epitetu: *Finis Poloniae*“ . . .

Wracając do prasy polskiej w r. 1794, nie należy w końcu zapominać, że i Lwów już od września 1792 r. posiadał pismo polskie, *Dziennik patryotycznych polityków we Lwowie*, wydawane przez Komitet redakcyjny, w skład którego wchodzili: Michał Harasiewicz, (później kanonik u św. Jura, obdarzony przez rząd austryacki tytułem barona de Neustern), Marcinkowicz, Onyszkiewicz i Wawrzyniec Surowiecki, znany później autor dzieła „O upadku przemysłu i miast w Polsce“. Redakcya *Dziennika* mieściła się w domu przy placu Bernardyńskim l. 13. Cztery ćwiarteczki w szesnastce, wychodzące codziennie, zaspokajały w zupełności ciekawość czytelników. Zdaje się wszakże, że wstręt do czytania panował wówczas w Galicyi o wiele potężniej niż dzisiaj. Mimo bowiem obfitego materyału, jakiego dostarczały sowicie wiadomości wojenne z pola walki Koalicyi z Francyą, powstanie Kościuszki, tudzież terrorystyczne rządy konwencyi, *Dziennik* nie opłacał się materyalnie, istniejąc tylko ofiarnością swych założycieli. Rocznik tego pisma zawiera przedruki: aktu powstania krakowskiego, akcesów innych województw, odezw i raportów Naczelnika, tudzież podkomendnych jenerałów. Mniej obfitym jest dział wiadomości miejscowych, jakkolwiek obok uniwersału cesarskiego z dnia dziewiątego kwietnia, ostrzegającego poddanych galicyjskich, aby się ani pośrednio ani bezpośrednio nie mięszali do wypadków, rozgrywających się w Królestwie, oraz zakazu wywozu broni do Polski, znajdujemy w *Dzienniku* wiadomości o przechodach oddziałów wojska narodowego przez Galicyę, o emigrantach polskich, szukających schronienia w Podgórzu i w Zamościu, wreszcie o wzmocnieniu załóg galicyjskich i o gromadzeniu się wojsk austryackich w Podgórzu. O klęsce maciejowickiej dowiedzieli się Lwowianie, w dniu dwudziestego siódmego października z zamieszczonej w *Dzienniku* odezwy Rady Narodowej, zaś w jednym z następnych numerów wyczytano sprawozdanie Suwarowa, podane prawdopodobnie z pism niemieckich, które dla publicystów lwowskich były wyłącznem niemal źródłem z dziedziny polityki zagranicznej. Wydawnictwo *Dziennika patryotycznych polityków* przeżyło rewolucyę Kościuszkowską i przetrwało do roku 1796.

Stanisław Pepłowski.

*) „Gazeta Wolna Warszawska“ 1794. Str. 1 — 2. — „Dziennik patryotycznych polityków w Lwowie“ 1794. — „Kościuszko“ (Kraków 1893 — 4) Str. 36, 42 — 43, 60, 92, 99, 100.

LITERATURA SZTUKI.

(Uwagi na czasie).

Czy rzeczywiście zapomnieliśmy . . . . o sztuce? Literaci i dziennikarze przecież piszą czasami krytyki o rzeźbie i malarstwie, — sprawozdania swoje czytają na posiedzeniach Akademii Umiejętności, zostają nawet docentami i profesorami na podstawie „niektórych rozpraw estetycznych" z historyi sztuki w Polsce, a na zjeździe literatów i dziennikarzy— nikt z nas nie chce się zdradzić z wiadomościami — naturalnie „fachowemi" — o owej sztuce? Chyżby powodem tego byli artyści prowadzący obecnie na całej linii galicyjskiego Towarzystwa Sztuk pięknych walkę o swoje prawa? Nie sądzę, bo przecież artyści są artystami a krytycy krytykami i wolno każdemu z nich mieć swoje poglądy i apatrywania, które zawsze powinny być w przeciwnym obozie uznane za mające prawo bytu. Artyści polscy. są pozbawieni opieki pióra — chociaż opływają w dostatkach towarzystwa ludzi, co obcując z nimi, wypisują na szpaltach przeróżnych pism naszych takie straszne cuda i takie potworne wieści o wszelakich impresyonizmach, realizmach i naturalizmach, — takie podniosłe zdania wygłaszają o neokatolicyzmie i neopatryotyzmie w sztuce, o symbolizmie uczuć natury ludzkiej i o wielkościach rosnących na tych niwach, że doprawdy nie dziwię się wcale neoszaleństwu Podkowińskiego, który w przystępie obłędu spowodowanego niemożebnością strawienia wszystkich wypisywanych w recenzyach idyotyzmów — obraz swój w kawałki nożem czy też paznogciami poszarpał...

Dobrze przynajmniej, że lekarze, patrząc pozytywniej na takie absurda krytyczne ze świata sztuki, nie wzięli obałamuconego artysty pod zimny tusz hydropatyi. I podczas kiedy o wszystkiem mówić będziemy na zjeździe, o wszystkiem, co się tyczy rozwoju w naszej literaturze, w dziale *literatury sztuki* panować będzie głuche milczenie. A może my nie mamy wcale tego działu w literaturze naszej? Nie twierdzę, ale się pytam, ponieważ wszystkie prace artystycznych literatów naszych drukowane kosztem akademii umiejętności gdzieś giną po wydaniu ich i w ręce profanów nie dostają się wcale!... bo! nawet za drogie pieniądze zobaczyć ich w handlu księgarskim nie można...

A przecież, ileż to razy sami głosimy, że tylko sztuką polską polskie imię ciągle rozbrzmiewa pomiędzy obce narody, że tylko artyści nasi przebojem idą w *świat* szeroki zdobywać laur i sławę dla naszej ziemi!... I nie pomagamy im niczem, prócz ogłaszaniem dytyrambów rozpoczynających się od słów: „i *znowu nasz znakomity artysta*" i t. d. a dytyramby te przesolone do niemożliwości kończą się zwykle fantowaniem ruchomości artysty przez wierzycieli, którzy czytając te ogromne pochwały i sumy otrzymane rzekomo za jego obrazy lub rzeźby — żądają od niego pieniędzy i nie chcą mu wierzyć, że ich niema — bo: w gazetach pisało, że znowu dostał wielkie snmy. Oto jest cała pomoc ze strony dziennikarskiej, która ma przynajmniej te zacną poczciwość, że robi człowiekowi reklamę — bez względu na to czy ona mu jest pomocną, czy szkodliwą. W znaczniejszej części przecież jest rzeczywiście pomocną.

Ale co artyści nasi i sztuka nasza ma od literatury?

Czy mamy dobrą przynajmniej — krytykę? Czy mamy jakieś teoretyczne rozprawy, jakie pismo artystyczne, czy może dzieła o sztuce polskiej; albo obcej? A! prawda, mamy po francusku napisane, „*Wieczory florenckie*" Klaczki: spolszczone przez St. hr. Tarnowskiego, mamy po niemiecku opisane wykopaliska miast Pamfilii i Pizydyi, przez Karola hr. Lanckorońskiego, także spolszczone przez Maryana Sokołowskiego, i oto cała nasza literatura sztuki. Przepraszam, jeszcze jest rzeczywiście po polsku napisana książka St. Witkiewicza p. t. „Sztuka i krytyka u nas," — ale ponieważ napisał to malarz, więc nie wiem, czy wolno mi go nazwać literatem, a pisanie jego wliczyć do dzieł literatury, tem więcej, że całe życie pamiętne będą słowa jednego z literatów i redaktorów do mnie i o mnie powiedziane: „Wolno o sztuce mówić i pisać każdemu chodzącemu po ulicy (!) ale nie wolno pisać o niej panu (niby mnie), bo sam jesteś rzeźbiarzem. To było bardzo mądrze powiedziane, ale nie chcę temu redaktorowi robić reklamy i nazwiska jego tutaj nie wyjawię. W każdym razie wartoby nad tem pomyśleć, czy by nie zabronić pisać krytyk literackich literatom, a muzycznych muzykom i pozwolić na zastąpienie ich w tym dziale ludźmi powołanymi z ulicy. Jak myślicie? Otóż *brak sekcyi*, która, by się zajęła sprawami *literatury sztuki*, *uważam za rzecz przykrą i bolesną* i prawdziwie cieszyłbym się, gdyby w toku rozpraw nad teatrem — także kwestya sztuki plastycznej przez którego z członków zjazdu podniesioną została. Kwestya ta jest bardzo ważną, i tylko przy sposobności tak licznego zebrania literatów i dziennikarzy polskich, mogłaby ona być jako tako poruszoną, jeżeli już nie załatwioną. Dopóki bowiem nie będziemy mieli naszej literatury artystycznej, dopóty artyści nasi będą zawsze mimowoli zawiśli od francuskich albo niemieckich wpływów, a publiczność nasza nie wzniesie się z poglądami swojemi po nad poziom patrzącego tłumu, zwanego po niemiecku „der Schaupöbel."

Roman Lewandowski.

Zjazd międzynarodowy literatów w Genewie w r. 1886.

Pzypomniał mi się ów Zjazd w chwili właśnie otwarcia naszego zjazdu. Była to wielka uroczystość w małej Rzeczypospolitej Genewskiej. Ojczyzna Kalwina, Rousseaua, de Candolla przystroiła się jak na gody na powitanie tych, którzy myślą swoją i pracą, po ciernistej drodze nieraz popychają ludzkość naprzód w jej pochodzie cywilizacyjnym. Przyjeżdzają nad jasne szafirowe wody Lemanu książęta, króle ukoronowani i w dymisyi, wysocy dygnitarze potężnych miast, lecz wolna Rzeczpospolita nie wywiesza na ich przyjęcie sztandarów, niezalega dworców kolejowych, nikt na cześć ich rymów nieukłada: ale przystraja się świątecznie tam zawsze, gdzie po nad głowami ludzi świecą piękne idee i wita z zapałem tych, którzy duchem swoim karmią miliony.

Prezydent Rzeczypospolitej Droz w imieniu rządu powitał zgromadzonych literatów piękną i ciepłą przemową, w której podniósł olbrzymie znaczenie dla ludzkości pracy umysłowej. Reprezentanci ciał naukowych witając gromadkę gości, za zaszczyt

to sobie poczytali, że witać mogą współpracowników na drodze umysłowego rozwoju i życia ludzkości. A byłato jednak gromadka bardzo nieliczna i nienajświetniejsza. Nie ludzi czczono lecz ideę. Rada miejska nie wysilała się na przyjęcia zbytkowe, na których mogłaby nakarmić aż do zbytku kilkuset swoich urzędników; ona choć nigdy nie wita w murach swoich żadnych dygnitarzy, witała serdecznie skromnych a nieraz ubogich pracowników z łona literatury, — szklanką wina i skromną przekąską (*vin d' honneur*). Ludzie rozumni wiedzą, że nikt nieprzyjeżdza na kongres, żeby jadł i pił, lecz żeby się sam posilił duchowo i posilił może innych. Na przyjęcie gości *Palais Eynard* otworzył swoje podwoje na ucztę, Rada miejska urządziła na cześć przybyłych koncert a wieczorem iluminowała miasto i pagórki wspaniale. Ja, obcy śród tego społeczeństwa, czułem się jednak podniesiony duchowo i w tej czci powszechnej dla ubogich pracowników, widziałem rozum i czystość moralną przewodników. Ludzie niebawili się tam w mówki kwieciste ale czuć było w każdem słowie tę spokojną dojrzałość umysłową społeczeństwa, które umie każdemu robotnikowi wyznaczyć miejsce właściwe i pracę jego uczcić z godnością. Nic dziwnego, pomyślałem, że wielkie serca biją w tej malutkiej Rzeczypospolitej, że wielkie myśli się rodzą, bo tutaj czczą nie tytuły lecz pracę.

Fr. Rawita.

W sprawie pisma literackiego.

Oddawna uczuwamy potrzebę pisma oddanego wyłącznie sprawom literatury — starano się też niejednokrotnie potrzebie tej uczynić zadość. Twardy jednak grunt warunków ekonomicznych, niski poziom oświaty u mieszanej ludności Galicyi z jednej strony. a z drugiej nie zawsze odpowiednie kierownictwo lub administracya, udaremniały dotychczasowe usiłowania.

Z podniesieniem się tak ekonomicznem jak kulturnem naszego kraju, ze zbliżeniem się pracowników na polu literatury na Zjazdach i w Towarzystwach, otwierają się widoki urzeczywistnienia tej wielostronnie odczuwanej potrzeby.

Cel takiego pisma jest jasny. Chodzi przedewszystkiem o rozbudzenie świadomości życia literackiego, o wytworzenie mu warunków szybszego i szerszego rozwoju, o podniesienie go pod względem materyalnym, umysłowym i moralnym na wyższe stanowisko.

Istniejące pod zaborem rosyjskim pisma, nie mogą wszechstronnie zadania tego spełniać w granicach przez cenzurę coraz bardziej zacieśnianych. Dzienniki i czasopisma u nas i w Poznańskiem mają przedewszystkiem społeczno-polityczne cele lub zadanie zawodowe. -- pisma poświęconego wyłącznie literaturze, w najszerszem tego słowa pojęciu, pisma literackiego, stojącego na poziomie nauki, nie posiadamy.(!?)

Nie stawając więc w drodze istniejącym już pismom, z których każde przyczynia się wedle możności do rozwinięcia tej lub owej gałęzi piśmiennictwa, miałoby to nowe pismo objąć całość pulsującego ruchu literatury, zmierzyć jego głębie i szerokość, wskazać jego główne dążenia i potrzeby, stając na straży stanu literatów i dziennikarzy.

Stworzenie i utrzymanie takiego pisma staje się nie tylko potrzebą ale i obowiązkiem. — Z braku takiego organu nie mogą dojrzeć niektóre działy literatury ojczystej, inne wprost zamierają. Utwory poetyckie, np. dramat, liryka i t. p. nie znajdują u nas nakładców, ani odpowiedniego umieszczenia w pismach. Krytyka literacka zamiast opierać się na estetyce, psychologii i socyologii, stanowiących właściwy zakres krytyki naukowej, zdana jest na łaskę i niełaskę subjektywnych sądów, wyrażanych w formie pochwały lub nagany.

Z braku takiego organu nie mamy dokładnej świadomości naszych potrzeb, nie znamy naszych skarbów umysłowych. Poeci, zajmujący szczyty ojczystej literatury, powieściopisarze sławni już po za granicami kraju, uczeni, posuwający wiedzę naprzód, najdzielniejsi publicyści i patryoci, najszlachetniejsi opiekunowie ludu, jedni nie mogą rozwinąć swoich zdolności, inni cierpią niedostatek, wszyscy nie są dostatecznie znani i oceniani.

Z braku takiego organu nie może też zapuścić głębszych korzeni zdrowy dorobek cywilizacyi zachodniej. Najwięksi geniusze literatury powszechnej a nawet pobratymczej nie wywierają na nasze społeczeństwo ożywczego wpływu, bo myśli ich nie weszły w krew i kości narodu, nie uzyskały u nas prawa obywatelstwa. A ż jaką dumą powiedzieć mogą np. Niemcy, że Homer a nawet Szekspir należą do narodu niemieckiego.

Zadaniem więc takiego pisma byłoby w uzupełnieniu pracy narodowej, krępowanej w innych dzielnicach Polski, nie tylko pogłębienie źródeł i rozwinięcie ojczystej literatury- nie tylko wchłanianie wedle sił i potrzeb narodowych prądów literatury powszechnej, ale także zdobywanie pracownikom pióra znośniejszych warunków rozwoju.

Ponieważ cel ten osięgnąć można tylko przez wzajemne współdziałanie wszystkich szermierzy na niwie oświaty narodowej, bez względu na to, do jakiego należą obozu, przeto nawiązując do istniejących projektów pomocy dla literatow i dziennikarzy, ośmielam się poddać do omówienia następujący wniosek, który ustnie rozwinę i umotywuję dokładniej.

„Zjazd literatów i dziennikarzy polskich uchwala *w zasadzie* potrzebę założenia organu, poświęconego sprawom literatury ojczystej.*)

Dr. Henryk Biegeleisen.

*)Czcigodny referent Dr H.Biegeleisen, którego uwagi w sprawie pisma literackiego zamieszczamy powyżej, zbyt wybitne zajmuje stanowisko w naszej literaturze, ażebyśmy do słów Jego w tym przedmiocie nie mieli przypisywać doniosłego znaczenia.

Dr. B. proponuje, ażeby zjazd uchwalił *w zasadzie* potrzebę organu literackiego. Zadania tego — powiedzmy z góry— nie pojmujemy. „Myśl" naszą wydajemy od lat trzech, przezwyciężając na każdym kroku niezliczone przeszkody i trudności i borykając się z brakiem funduszów, które u nas znajdują się na każdy cel, tylko nie naliterackie czasopisma. Sądzimy, że należałoby w referacie, traktującym tę sprawę, przedewszystkiem podznaczyć i napiętnować apatyę naszego społeczeństwa, które dotychczas nie dało poparcia żadnemu pismu literackiemu, następnie zaś albo wystąpić z konkretnym wnioskiem co do *funduszu* na cel pisma zebrać się mającego, względnie zaś — co uważamy za najwłaściwsze — polecić zjazdowi jedno z istniejących już do gorliwego poparcia lub nawet zaprojektować fuzyę kilku istniejących.

(Przep. red. Myśli).

KUBALA a SIENKIEWICZ.

Tytuł zakrawa na nazbyt wielki paradoks zwłaszcza, jeżeli się wspomni na ciągłość myśli ludzkiej, odgrywającą w świecie jej przejawów tę samą rolę, jaką prawo jedności siły ma w świecie materyi.

Dziwię się też bardzo, że dotychczas wśród krytyków literackich nie zjawił się jaki swego rodzaju Seechi, któryby w ocenie poszczególnych dzieł, nie traktował ich odrębnie jako luźnych, oderwanych faktów, ale pogłębiał całą sumę przyczyn poprzedzających i tłumaczących zjawienie się jakiegokolwiek dzieła sztuki.

Taka ocena byłaby i wyczerpującą i uzasadnioną przyczynami a więc ściśle umiejętną. Przytem zaś w świetle tego pewnika ileżby na jaw wystąpiło skrytych tajemnic, o ileżby mniej było zbytniego wynoszenia jednych szczęśliwszych przez szczęśliwy zbieg okoliczności, a na głowy drugich ileżby spadło zasłużonych liści wawrzynu.

Zwłaszcza u nas w Polsce to potrzebne, gdyż właśnie u nas wielkości zwykły wyrastać na barkach cudzych (nie mówię i zastrzegam się wymówić tego o Sienkiewiczu).

Redaktor stojący na czele dziennika, odbiera hołdy uznania za ten lub ów artykuł, a jego współpracownik przymiera z pracy i zbytecznem dodawać, z głodu.

Wracając jednak do rzeczy, radzimy pamiętać że jak w świecie natury nie masz nic nowego, niczego, coby nie było przemianą ruchu i sił, tak samo w sferze ducha.

Kiedy zjawiła się wspaniała Sienkiewiczowska tryologia, ileż to było zachwytów i uniesień?

Wspomniałże jednak kto bodaj półsłówkiem, że już dawniej ktoś inny odsłaniał przed nami obraz tych tytanicznych zapasów Rptej. z hydrą kozaczyzny.

Dwa lata zaledwie dzielą *Szkice historyczne* Kubali od powieści „Ogniem i mieczem“.

To samo w nich tło z pożarów i zgliszczy, z wonnych stepów ukraińskich, walących się w gruzy murów twierdz i bezradnej Warszawy; te same na widownią występują postacie dziejowe, tu i ówdzie ta sama epiczna potęga stylu i wyrażeń.

Kubala jest bowiem historykiem, ale i wielkim poetą zarazem. Jak n. p. wyrazistemi barwami nakreśla charakter młodego Kazanowskiego, dworzanina królewicza Władysława a głównego współzawodnika dumnego Jerzego Ossolińskiego, przyszłego kanclerza. w. k.

„Było coś cygańskiego w tym młodzieńcu. Czarne kręcone włosy, śniada cera, lubieżnie wyrzucone usta, uśmiech dwoma rzędami pereł ozdobiony, wielkie niespokojne oczy, ruchy kocie przymilające się, gdy się chciał komu podobać a pełne leniwej pogardy, kiedy sobie kogo lekceważył.

Mienił się jak brylant w różne kolory: raz był uprzejmy i miękki, to znów szorstki w obejściu, raz żywy i pełen niewyczerpanych pomysłów, to znów leniwy i spiący, raz bojaźliwy, grzeczny, to znów zuchwały i gbur, jak mu było wygodnie ..“

Czy mimowoli nie przypomina nam się tu Bohun, jeżeli dodamy do tego obrazu dzikość syna stepów i odwagę rozpaczeńca. Sienkiewicz sam nie wstydziłby się położyć swego nazwiska pod opisem Jerzego Ossolińskiego, leżącego w majestacie śmierci na katafalku w swym zamku warszawskim „Arde“.

Na wielkiem weneckiem łożu leżał kanclerz, już do trumny ubrany, w stroju kawalera Niepokalanego Poczęcia. Na głowie miał okrągłą czapeczkę z białego sukna, której wierzch lśnił promieniami złotemi, szaty brunatnego koloru, długi płaszcz biały srebrem haftowany i jedwabną materyą podbity, na piersiach łańcuch z krzyżem złotym, w pośrodku którego na białej emalii obraz Maryi z Jezusem w ręku, depcącej smoka z napisem: Zwyciężyłaś, zwyciężaj!

U stóp leżała tablica:

Via Domine quia voluirt: Morio. quia junisti Suscita, quia debes Salva, quia vis et potes.

Przy łożu stał nadworny błazen nieboszczyka w niewieścim ubiorze: chłopak obłąkany, któremu wydawało się, że jest kobietą i modlił się do trupa.

Opis podróży królewicza Władysława do Uchania jest jakby żywcem wzięty z Potopu.

Jazda była przepyszną, pierwszy dzień wiosny, kiedy natura cała zbudzona, budzi i młode serca. Lecieli naprzód: konie i psy w szalonych podskokach, jeźdźcy pełni wiary w nowy raj życia. W progach zamku czekała ich wojewodzina, wsparta na ramieniu wtórej wnuczki swojej, Izabelli Daniłowiczównej, dziewicy pięknej jak poranek.

Komuż nie przyjdzie na myśl rycerstwo polskie ciągnące w rysiach i sobolach na złotych rydwanach pod Piławce, kiedy się czyta opis poselstwa Polskiego, wjeżdżającego pod wodzą Ossolińskiego do Rzymu.

Pochód otwierali dwaj przystawi po polsku ubrani na dzielnych koniach, za nimi muły i wielbłądy dźwigały tłumoki posłów. Mułów było 30, wszystkie pokryte długimi oponami z szkarłatnego sukna, na których błyszczały herby posła złotem wyszyte. Dziewięć wielbłądów ze srebrnemi dzwonkami niosły drogie sprzęty pokojowe, pokryte jedwabnemi oponam, tkanemi złotem.

Za nimi 4 trębacze posła, których sztukę całe miasto podziwiało, przygrywało postępującej gwardyi kozackiej, złożonej z 34 jeźdźców od stóp do głów uzbrojonych, w mundurach z różowego jedwabiu złotem litych z białemi piórami u czapek.

Drugi orszak otwierał poważny starzec z długą białą brodą. Suknię miał złotą perłami sadzoną, bogata tarcza wisiała u łęku, w ręku trzymał dzidę pruskim obyczajem. Jechał spokojnie a skrzydła z piór żurawich zdawały się go unosić. Był to giermek Ossollińskiego, za którym na dzielnych koniach trzydziestu pokojowców jechało. Mundury polskie z niebieskiego aksamitu, sahajdaki i łuki berberyjskie w srebro oprawne, czapeczki czerwone, konie kasztanowate. rząd na nich srebrny, na łbach pióropusze z strusich piór. Trzęsły forgami i parskały wesoło.

Młodzież dworska nader przyjemne wrażenie robiła: wszyscy w pruskich złotogłowiach, jednakowo ubrani, szable, handiary i siedzenia od złota, przedniejsi dworzanie nad przepych ustrojeni od soboli rezańskich i rysiów perskich.

Czytałem w „Przeglądzie powszechnym“ porównywanie stylu Sienkiewicza z językiem Homera, upatrywano w jego prozie nawet kadencyę wiersza bohaterskiego, a o Kubali nie wspomniano słowem, choć wszystkie jego szkice (Oblężenie Zbaraża i Pokój pod Zborowem, Bitwa pod Beresteczkiem, Krwawe swaty, Proces Radziejowskiego. Oblężenie Lwowa r. 1048)., stanowią wytyczne punkta trylogii.

Dłuższe i źródłowe studyum, na jakie ja zdobyć się nie mogę, wykazałoby tę paralelę w szczegółach

sięgających dalej nad utartą zasadę: „Grosse Geister finden sich", lub jedność źródeł historycznych.

Autorowi „Potopu" ujmy to nie przynosi zgoła żadnej, bo choć Kubala pierwsze powiedział słowo, on je w pieśń zmienił nieśmiertelną. Cześć jednak i naszemu p. Kubali, że umiał natchnąć wielkiego pisarza do tworzenia dzieł wielkich.

Kończę pytaniem, jak wysoko wzniósłby się on sam, gdyby nie praca wyczerpująca, nie nasze galicyjskie stosunki...?

Cześć wielkim a cichym!

CO ROBI OPINIA PUBLICZNA W GALICYI?

Przy sposobności zbierającego się II-go zjazdu literatów i dziennikarzy, warto zastanowić się nad kilku objawami, na które patrzą wszyscy, nad któremi jednak przechodzi się w prasie do porządku dziennego, rzekomo z braku miejsca dla rozpraw żywotnych, a w istocie dlatego, że miejsce to poświęca się często w najpoważniejszych dziennikach fraszkom zajmującym (!) albo apologiom dla wielkości powiatowych.

Nie od dziś zapanował w czasopismach codziennych zły zwyczaj nieposzanowania zdania przeciwników. Zwyczaj ten wyszedł z obozu konserwatywnego. Za przykładem tego Olimpu, poszła i prasa demokratyczna.

Żeby uniknąć podejrzeń, iż tkwimy także w błędzie, przeciw któremu głos podnosimy, oświadczamy z góry, iż nie byliśmy nigdy i nie jesteśmy zwolennikami pochlebiania stronnictwom. Schlebianie ludowi, czy mieszczaństwu po to, ażeby żywioły te prędzej pozyskać dla idei narodowej, jest złem, z którego wyrasta mnóstwo innych złych następstw. Obowiązkiem człowieka urodzonego na polskiej ziemi jest, być dobrym obywatelem, dobrym Polakiem. Palenie za to wonnych kadzideł jest jakiemś zboczeniem umysłowem.

Wracając do stronnictwa konserwatywnego, wyjaśnimy, dlaczego nazwaliśmy tę frakcyę Olimpem? W czasach, w których stronnictwo to zaczęło dawać zły przykład, oświadczyło, iż jedno tylko *ma prawo* decydowania, opiniowania i ferowania wyroków w sprawach politycznych. Jakoż prawdziwie Jowiszowe pioruny ciskało, lub zionęło Patroklesowemi wonnościami na przeciwników, skoro się ośmielili, wyrazić inne zdanie i zapatrywanie. Dowodów na to dostarczyć może z wielu lat zadrukowana bibuła.

Przyznawać sobie tylko prawo, nieprzyznane przez nikogo, jest uzurpacyą. Taki stan bezwzględności byłby chwilowo bardzo dobry, gdyby w improwizowanym Olimpie zasiadali ludzie nieomylni i gdyby byli wcieloną tradycyą umiejącą piękniejsze strony przeszłości godzić z czasami współczesnemi i z przyszłością.

Za przykładem półbogów szli zwyczajni śmiertelnicy. Że zaś przykład ten zaślepiał wszystkie koterye i obozy, bo podniecał ciągle namiętności, w odmęcie więc tym i w wirze spraw bieżących, podrzędniejszych, przechodziły niepostrzeżenie sprawy ważniejsze.

Do najważniejszych należy wychowanie młodych pokoleń i kierunek, w którym idą pokolenia starsze. Do wychowania potrzebne są książki, a nadto ta atmosfera, która się wyradza z prądów współczesnych. Wyrazem ich najżywotniejszym (takby przynajmniej być powinno) jest prasa.

Obowiązkiem jej zwracać uwagę nie tylko na współczesne objawy i drogi polityczne, ale i na to, o ile utrzymane są wyżej od zwykłego poziomu te publikacye, których żywot trwalszy od dziennikarstwa.

Obowiązek ten przeoczono. Dziś znajduje się w ręku publiczności wiele publikacyj pod stemplem nauki i powagi, które jednak inspirowała polityka.

I tak naprzykład w dziedzinie historycznej wydawane są coraz nowe dzieje Polski, w których jak nić czerwona snują się legendy pogmatwane z rzeczywistymi wypadkami. Ciągle jeszcze widzi się w jednym z królów pierwszych zabójcę i pokutnika, który jednak, jeżli pokutował, to nigdy w Ossyaku nie był i nigdy tam pochowany nie został. Dla aureoli Męczennika i świętego zupełnie to niepotrzebne, ale w uporze tym tkwią inne pobudki, mniej święte i zgoła niereligijne.

W licznych książkach historycznych już spopularyzowanych, odmawia się potężnego wpływu z wychowania wypływającego na całe społeczeństwo, a odmawia tylko dla tego, ażeby utrzymać ciągłość rehabilitacyi jednego z zakonów. Dziś wpływy wychowania są w oczach tych samych ludzi niezmiernie ważne, ale w ówczas nie były. Wszystko jak potrzeba polityce. Gdzie tu powaga i bezstronność historyczna? gdzie najwyższy i niezależny trybunał wiedzy i umiejętności? Sprawy takie mogłyby być zadaniem Towarzystwa historycznego.

W książkach, fabrykowanych nie dla prawdy historycznej, ale dla wytwarzania opinii politycznej, ilekroć jest mowa o zasłużonym rzeczypospolitej mężu stanu lub wojowniku niekatoliku, to zawsze z dodatkiem „chociaż był innowiercą," lub „był to wprawdzie człowiek nie bez zasług, ale zarażony herezyą." itp. Słowem, pisane to jest nie jak dla inteligencyi świadomej swego zadania, ale jak dla rzesz ciemnych, z których ludzi zrobić ma dopiero fanatyczny prozelityzm.

To źródła, z których zasila się pokolenie starsze, mające zadanie wychować generacyę młodszą. Gdyby szło jedynie o wychowanie religijne, nie potrzebaby robić z religii narzędzia politycznego. Ale tu idzie o nagięcie polityki narodowej do celów obcych narodowi.

Potem idzie w prasie apoteozowanie wielkości współczesnych. Teraz nieledwo każda parafia ma swoją wielkość. Najusłużniej, lubo bardzo niezręcznie kadzi wielkościom robionym na prędce, dziennikarstwo konserwatywne. Zasługi mężów publicznych rosną w niebo. Każdy ich frazes jest czynem, każde zdanie świadczyć ma o niezmiernie wielkim umyśle, każde wystąpienie takiego męża jest: „zdarzeniem nie małej wagi" — albowiem: „umysł to najszerszy a dusza najwyższa." — Gdybyśmy zaś zechcieli zliczyć wszystkie *epoki*, które sprawić mieli ci mężowie życiem swojem w pewnych miastach i parafiach — to doprawdy pokazałoby się, że mamy więcej epok w naszym kraju, niż ich ma cała Europa w ciągu ery chrześciańskiej. Niepodobna już wyobrazić sobie bardziej krańcowej przesady.

W innym kierunku przesada objawia się w dziennikarstwie postępowem. Tu całe warstwy otacza się jakąś aureolą nienaturalną, bo niezasłużoną i niepotrzebną. Wszelkie spełnienie pospo itego obowiązku zasługuje na pochwałę większą, niż trzeba i niż to pożyteczne być może umysłom płytkim i pochopnym do pretensyi przesadnych. Służba publiczna, oddana w chwilach ważniejszych, poczytywana za łaskę zrobioną społeczeństwu, nie świadczy to bynajmniej o zdrowem pojęciu zadań opinii publicznej. Ciasny zakres, jaki sobie wytknęło stronnictwo demokratyczne w granicach kraju, nie wziąwszy w rachunek postulatów narodowych i politycznych, zakres ten i czynność w jego granicach może wpłynąć wprawdzie na wybór tego lub owego człowieka zasad postępowych do reprezentacyi krajowej — ale nie wytworzy atmosfery czystej i polskiej, któraby pigmejów Wallenrodyzmu mogła pokonać.

W ten sposób równoważą się tylko dwie przesady, a tymczasem poważniejsze zadania idą mimo i toną w moczarach sporów o rzeczy podrzędne.

Część prasy, która zalicza się wprawdzie do postępowej, ale jest nią o tyle jeno, o ile wtóruje chórowi o potrzebie oświaty ludowej — nie widzi zgoła, iż zabrnęła na manowce polityczne. Manowcami wolno nazwać powracającą falę najgorszego okresu dla byłej rzeczypospolitej. Był to okres nietolerancyi dla innych wyznań. Obecnie rozmaitemi dla przerażeń wymyślonemi postrachami zdołano tak pokierować polityką, że bliska jest reakcyi. Bez krytyki — albo zgoła z towarzyszeniem aplauzów przechodzą takie zdania, że naprzykład, najniższe klasy szkół elementarnych powinny być dla ludu inne, a dla mieszczaństwa inne. Doprawdy można śmiało twierdzić, że cienie Metternicha rozradowały się tą mądrością. Komisya edukacyjna starała się znieść te różnice, a dziś zachwala się je jako zbawienie.

Bez krytyki w prasie postępowej, rozpowszechniają interesowani zapatrywanie polityczne, że naród polski nie powinien manifestować sympatyi swoich dla Włoch, ponieważ państwo to rzekomo prześladuje papieża. W dojrzałych politycznie Włoszech przyjmują te głosy za wyraz usposobienia całego narodu, bo nikt przeciw temu nie reaguje i odwracają się nawzajem od Polski. Jedyne więc na teraz społeczeństwo niezawisłe, którego życzliwość utrzymaćby należało, zraża się obskurantyzmem politycznym. Przy tej sposobności nadużywa się znowu uczuć religijnych, bo głosi się, że okazanie sympatyi byłoby podkopywaniem katolicyzmu. Słowem, rozbudzanie fanatyzmu, takiego samego, jaki rozbudzony był na początku w. XVII poczytuje się za zasługę. To właśnie nosi wybitne piętno powracającej fali obskurantyzmu - dla celów zgoła nienarodowych.

Dotknięte tu jedynie najzgubniejsze dążności, które nie są przedmiotem dyskusyi, bo ta obraca się w zaczarowanem kole spraw podrzędnych, lubo praktycznych. Są duchy, które starają się usilnie o to, ażeby z koła tego nie wybrnęło społeczeństwo. Stan taki zadawalnia ludzi, którzy w małych rzeczach mogą okazać swoją wielkość stając na czele ruchu wstecznego dla — dobra, jak mówią kraju i Ojczyzny.

Teofil Szumski.

ANARCHIA.

W czasach szrapneli, torpedowców, dynamitowych petard, komisyj kolonizacyjnych, elektrycznych tramwajów i t. p. wynalazków do uszczęśliwienia ludzkości służących, rozwija się wspaniale kult *stowarzyszeń*. I czy to będą dynamitardzi, sztyletniki czy wreszcie najlojalniejsi związkowcy, wszystkie te grupy powstają na zasadzie jakiegoś mniej lub więcej ściśle określonego celu a członkowie ich popierają się wzajemnie i pracują dla spólnego interesu. Są to pilastry na których opiera się gmach społeczny, mniejsza na razie o to, że najwygodniejsze ubikacye w tym gmachu zajmują związki rządowe — dość, że związki ludzi myślących i pracujących dla swego bytu istnieją a o zwrócenie na to uwagi Szan. Czytelnika chodziło nam właśnie.

Rządy, z wyjątkiem związków anarchicznych, lubią związki w ogóle, bo takie gremia: rękodzielników, przemysłowców, kupców, członków *Societatis Jesu*, przyjaciół sztuk pięknych, weteranów, itd. przysparzają kasom rządowym dosyć grosza, chociaż głównie swój własny byt mają na względzie.

Dziennikarstwo również sprzyja owym legalnym związkom i popiera ich cele gorąco. Anarchii natomiast boi się to „siódme mocarstwo“ jak ognia piekielnego. Tkwi w tem pewna sprzeczność psychiczna, albowiem nie znam większej anarchii jak dziennikarstwo same w sobie.

Zdawałoby się, że ludzie inteligentni, wykształceni, mający — bezsprzecznie — największą władzę w ręku — bo władzę opinii publicznej — zdolni są do wykorzystania jej choćby w małym stopniu, na własną korzyść. Ale gdzież tam! Wytworzyła się w dziennikarstwie, zwłaszcza naszem, dziwna choroba zwana „manią wielkości“ i ta przytłumia wszelką akcyę w kierunku zjednoczenia dziennikarzy polskich w jedną, wielką, statutem zatwierdzoną korporacyę.

Ręczę że na tysiąc członków stowarzyszenia rękodzielników „Gwiazda“ nie znajdzie się trzech, którzyby mieli wspólne, jednolite przekonania polityczno-społeczne lub pod względem materyalnym byli jednako uposażeni a mimo to, siadają obok siebie, radzą i działają wspólnie dla dobra swej instytucyi.

Między dziennikarzami dzieje się inaczej.

Fejlotonista patrzy z góry na kronikarza, kronikarz na tłumacza. Współpracownik, zarabiający 100 złr. miesięcznie, udziela w drodze „szczególnej łaski“ posłuchania współpracownikowi zarabiającemu miesięcznie, połowę tej kwoty. Współpracownik n. p. „Dziennika Polskiego“ jest stanowczo w kłopocie rozmawiając ze współpracownikiem „Kurjera Lwowskiego“, tak samo współpracownik „Czasu“ w stosunku do współpracownika „Reformy“ i *vice versa*. Jeżeli który z dziennikarzy pisuje tak zwane „wstępne artykuły lub jest zarazem literatem, no, to bez kostura nie przystępuj do niego panie „prosty“ dziennikarzu. Skutkiem tego wytworzyła się w dziennikarstwie naszem duszna atmosfera dłowiąca wszelką swobodę i otwartość.

Wyjątki! Są przecież wyjątki! zawołasz Szan. Czytelniku. Zaiste, bywają wyjątki, ale one nigdy nie stworzą reguły, jak nigdy, zdaje się, dziennikarstwo polskie niezdobędzie się na wspólne ognisko,

wspólną radę i pomoc. Zawiązane „stowarzyszenie polskich dziennikarzy literatów“ z siedzibą we Lwowie, choruje na anemią właśnie z powodu tych rozmaitych ambicyj i ambicyjek uniemożliwiających jednolite a sprężyste działanie.

Dzierżąc w ręku organy opinii publicznej, gdybyśmy (pomijając względy przekonań osobistych), zechcieli jako ludzie uczciwi i dobrze wychowani porozumieć się wspólnie i poprzeć odpowiednio własny interes korporacyjny z pewnością udałby się nam każdy raut, każdy bal, każde niemal wydawnictwo, a w ten sposób stworzylibyśmy instytucyę którąby niepozwoliła iść kolegom, weteranom do zakładu Helclów lub przytuliska Domsa — na łaskawy chleb. . . . .

. . . .

Oby zjazd nasz obecny położył koniec anarchii dziennikarsko-literackiej w Polsce a stworzył uczciwą Rzeczpospolitę i znalazł dla niej co rychło Periera.

J. J. Rychter.

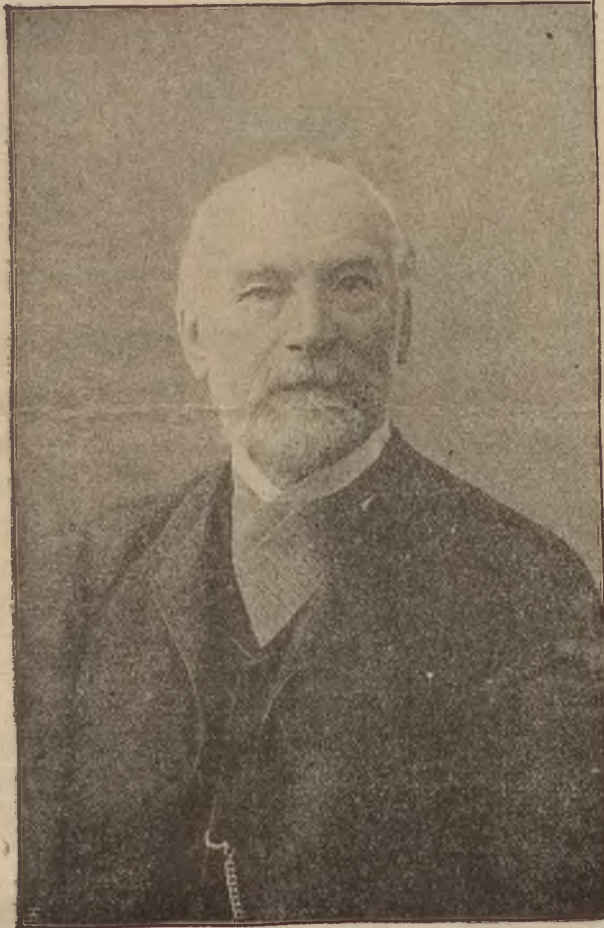
ZJAZD
literatów i dziennikarzy polskich.

W dniu 18. lipca zebrali się uczestnicy zjazdu w Kole literackiem, gdzie witali ich: prezes dr. Kubala i M. Rodoć (Biernacki). Imieniem naszych pobratymców, czechów dziękował za słowa do nich zwrócone znakomity pieśniarz Jarosław Vrchlicki.

W dniu dzisiejszym, 19. bm. odbyło się w sali muzycznej na wystawie pierwsze posiedzenie zjazdu, na którem mowy powitalne wygłosili: Dr. Kubala, p. Chamiec prezyd. Mochnacki i ks. Sapieha.

Na prezesów honorowych zjazdu powołano sławy poezyi współczesnej: Jarosława Vrchlickiego i Adama Asnyka, na prezeza rzeczywistego: Antoniego Małeckiego na wiceprezesów: T. T. Jeża i Jana Karłowicza.

II. Zjazd literatów i dziennikarzy polskich zapowiada się bardzo poważnie. Referaty, jakie wejdą na porządek dzienny obrad sekcyjnych obejmują sprawy: literatury i pism (patrz art. Biegeleisena), teatru, oświaty ludowej lingwistyki a więc rzeczy żywotne i ważne. W numerze obecnym „Myśli“, zjazdowi poświęconym, dajemy portret prezesa jubilata dr. Antoniego Małeckiego, którego sylwetkę, pióra St. Rossowskiego, zamieściliśmy w roku ubiegłym w czasie jubileuszowych godów naszego uczonego.



Antoni Małecki.

KRONIKA.

*** Znakomity autor „Uskoków“ i zasłużony syn Ojczyzny: pułkownik Miłkowski (T. T. Jeż) zawitał po długoletniej nieobecności do kraju.

Wielkiego pisarza, który od początku istnienia naszego pisma nie szczędził nam swych wytrawnych rad i gorącego poparcia, zawsze nawołując do wytrwania na stanowisku — witamy serdecznie w murach stolicy ściślejszej naszej ojczyzny.

Wołamy z serca: Żyj nam długie jeszcze lata zacny pułkowniku, a hetmanie pióra — na pożytek literatury i kraju!

*** Na zjazd literacki przybyli do Lwowa: Adam Asnyk, Jarosław Vrchlicki Ed. Jelinek., Szubert, dyr. „Narodnego Divadla“, Michał Bałucki, Kaź. Bartoszewicz, Józef Kotarbiński, Sewer Maciejowski, Wł. Prokesch, dr. Leopold Caro i. w. i.

*** *Rodoć*, nasz wierny współpracownik wydał własnym nakładem (sic, signum temporis!) tom XII. swych poczytnych „Fraszek i satyr“. Szczęście jeszcze, że nasi księgarze nie odmówili książce Rodocia praw komisowej sprzedaży. Nie wątpimy, że wkrótce wyjdzie drugi nakład „Fraszek“ ale nie kosztem autora.

*** Zjazd pedagogów polskich, który odbył się temi dniami we Lwowie miał tak znamienny i wyjątkowy charakter i tyle żywotnych kwestyj pedagogiczno dydaktycznych poruszył iż dla zdania o nim dokładnej sprawy musielibyśmy poświęcić kongresowi dłuższe i głębsze uwagi. Uczynimy to w następnym numerze naszego pisma, w którym zamieścimy także artykuł znanego publicysty, o „feministkach warszawskich“ Panie te, emacypantki, nadawały że tak powiemy ogólny ton i charakter kongresowi pedagogicznemu.

*** Najświeższy numer *Świata* ilustrowanego organu wystawy powszechnej z dnia 15 b. m. przedstawia się znowu świetnie. Tytułową kartę zdobi rycina Stachiewicza „Zjazd górników do kopalni wielickiej“ Z wystawy znajdujemy kilka artykułów, mianowicie o pawilonie uniwersytetów, dział etnograficzny z ryciną art. Dębickiego, który podał wizerunek artysty ludowego Skryblaka. Świat, jako organ wystawy, spełnia znakomicie zadanie swoje z prawdziwem zrozumieniem i umiłowaniem zadań wystawy.

S. GABRIEL & J. CHLEBOWNIK

we Lwowie, plac Halicki l. 3

polecają:

Bieliznę kompletną męską:

Koszule dzienne i nocne: **Kalesony** dymkowe.
Kołnierze, Mankiety, Półkoszulki.
Chustki płócienne i jedwabne.
Chustki na szyję (Cachenez).
Szelki, Spinki i Szpilki do krawatek.
Kaftaniki jedwabne, wełniane i bawełniane.

Spodnie jedwabne, wełniane i bawełniane.
Skarpetki „ „
Pończochy damskie, jedwabne, wełniane i bawełniane.
Pończoszki dziecinne w rozmaitych gatunkach i kolorach.

Rękawiczki damskie i męskie.

Obuwie dla dam i mężczyzn.
Kalosze męskie, damskie i dla panienek; tylko rosyjskie najprzedniejsze.
Kapeusze męskie w rozmaitych kolorach.
Cylindry i **Kapelusze** składane.
Krawaty z fabryk krajowych i angielskich; co tygodnia świeże przesyłki.
Parasole od deszczu i słońcochrony.
Parasolki damskie od słońca.

Kuferki ręczne skórzane i Waterproff.
Torby ręczne z urządzeniem i bez.
Torbki do przewieszania.
Necessairy i **Roulony** z urządzeniem i bez.
Plaidy i **Kocyki** pluszowe i wełniane w kraty.
Perfumy i **Mydła** francuskie i angielskie.
Woda kolońska prawdziwa i angielska.
Szczotki, Grzebienie i Lusterka i wiele innych artykułów.

Towar doborowy. — Ceny najprzystępniejsze. — Łaskawe zlecenia z prowincyi wykonują się najpunktualniej.

Doskonałą herbatę
CHIŃSKO-ROSYJSKĄ
poleca
stary handel
Izydora Wohla
założony w r. 1870
we Lwowie
ul. Sykstuska l. 6.

Lwowskie laboratoryum chemiczne
świadectwem z dnia 24. marca 1892 roku do l. 1918 stwierdziło, że jedynie
TUTKI NIEKLEJONE
z fabryki
S. W Niemojowskiego we Lwowie
są znakomite i zdrowiu nieszkodliwe.
Do nabycia w sklepach
S. W. Niemojowskiego
WE LWOWIE
ul. Teatralna 3 i ul. Jagielońska 6.
w Krakowie Sukiennice 28
oraz we wszystkich handlach i trafikach.
Zlecenia z prowincyi uskuteczni się odwrotnie — przy 5.000 sztuk franko.
Ostrzega się przed licznemi naśladownitcwami.

Jan Bromilski
we Lwowie
ul. Karola Ludwika, Grand Hotel.
Skład papieru
Przyborów do pisania,
RYSOWANIA
i
MALOWANIA
ksiąg
handlowych i gospodarskich
ram, obrazów itp.
zaprasza Szanowną Publiczność do zwiedzenia swego Składu.

Galicyjski Bank Kredytowy

począwszy od 1 lutego 1890 wydaje
4% ASYGNATY KASOWE
z 30-dniowem wypowiedzeniam
3½% ASYGNANTY KASOWE
z 8-dniowem wypowiedzeniem.

Wszystkie zaś znajdujące się w obiegu 4½% **Asygnaty kasowe** z 90-dniowem wypowiedzeniem, oprocentowane będą **począwszy od l. maja 1890 po 4%** z 30-dniowym terminem wypowiedzenia.

Lwów dnia 31. stycznia 1890.

(Przedruk nie będzie płacony). **Dyrekcya.**

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Edmund Ostruszka**. Z drukarni E. Ostruszki, Lwów. Sykstuska 10.